

Paweł Paliwoda: Totalitarna demokracja, totalitarne media

Cech totalitarnych polskiej demokracji można się dopatrywać na różnych polach



Cech totalitarnych polskiej demokracji można się dopatrywać na różnych polach

Na emigracji w USA Leopold Tyrmand opublikował tekst „Media jako współczesne zagrożenie”. Pisał w nim: „Amerykańska prasa zabsolutyzowała swoją pozycję i stała się – wbrew oficjalnym wyobrażeniom o mediach – totalitarnym czynnikiem w demokratycznym świecie Ameryki. Totalitaryzm ów wyraża się w tym,

iż nie zajmuje się ona wyłącznie przekazywaniem informacji – choć uporczywie taką funkcję sobie przypisuje – ale agresywnie ingeruje w całość życia Amerykanów i formuje je zgodnie z idiomem swoiście rozumianego, apodyktycznego liberalizmu”. Sytuacja w postkomunistycznej Polsce jest jeszcze gorsza. Większość opiniotwórczych mediów została przejęta przez typy spod ciemnej gwiazdy – często o proweniencji komunistycznej. Jak jest możliwa podobna deprecjacja środków masowego przekazu w państwach demokratycznych? Jej warunkiem jest deformacja liberalnej demokracji, którą obecnie obserwujemy w skali całego Zachodu.

Czy demokracja może być „totalitarna”? W sensie działania systemu państwowego o takiej sytuacji trudno na pozór mówić. Przykłady państw komunistycznych, nazistowskich Niemiec czy faszystowskich Włoch, a także tyranii monarchicznych czy uzurpatorskich wskazują, że totalitaryzm jest związany ze stosowaniem przemocy i rozlewem krwi. Także ingerencja rządzących we wszystkie sfery ludzkiego życia miała tam drastyczny charakter. System totalitarny nie znosi wolnych mediów, partyjnego pluralizmu oraz politycznej samodzielności członków zbiorowości, nad którą sprawuje kontrolę. Gdyby jednak bliżej przyjrzeć się współczesnym liberalnym demokracjom, okazałoby się, że także w ich obrębie na wielką skalę dochodzi do stosowania przemocy.

Demokracje quasi-wrażliwców

Koronnym na to dowodem jest w większości krajów zachodnich swoboda aborcyjna, zwiększająca swój zasięg eutanazja, dramatyczne skutki abolicjonistycznej polityki działania wymiaru sprawiedliwości, który groźnych przestępców wypuszcza na przepustki czy stosuje

warunkowe zwolnienia przy i tak niskich wyrokach, co często skutkuje recydywą w zakresie najcięższych przestępstw. Czy nie jest źródłem wielu ludzkich dramatów rzeczywiste tolerowanie pedofilii w takich krajach jak Holandia czy Kanada, gdzie dorosłym zezwala się na utrzymywanie stosunków seksualnych z dziećmi od 14 roku życia? Takie przykłady można mnożyć. W społecznościach, do których jak ulał pasuje nieco już spowszedniałe określenie „moralna anomia”, w wielu dziedzinach życia dochodzi do dyskryminacji jednych grup społecznych kosztem innych. Dzieje się tak dlatego, że Zachód przechodzi obecnie wielką metamorfozę. Porzuca „stare” dziedzictwo chrześcijańskie z jego zasadami, nie nabywając przy tym żadnej innej doktryny moralnej, która przeciwdziałałaby złu i absurdom pojawiającym się w różnych dziedzinach życia.

Choć w różnych krajach demokracja przybiera różne formy strukturalne – od wielkiej konfederacji Stanów Zjednoczonych po małą Szwajcarię (gdzie właśnie szykowane jest powszechne zdejmowanie krzyży w instytucjach edukacyjnych) – gdybym miał jednym określeniem nazwać istotę demokracji zachodnich, powiedziałbym, że są to „demokracje quasi-wrażliwców”. Intelktualistów, którzy produkują idee w znacznej mierze reprodukujące postulaty marksizmu-leninizmu (ateizacja, wynarodowienie w imię internacjonalizmu, obrona uciskanych grup – pederastów i feministek zamiast robotników i chłopów itp.) ludzi mediów, którzy je popularyzują jako metodę szybkiego awansu od większościowego kołtuna do elitarnego wrażliwca, oraz polityków, którzy chętnie podchwytyją bojowe postulaty intelektualne, dzięki czemu odwracają uwagę wyborców od będącej ich udziałem korupcji i bezczynności na polu rzeczywistej modernizacji i budowania państwa prawa (za co otrzymują wsparcie mediów i kręgów akademickich).

Liczebna grupa wrażliwców-reformatorów manifestuje swoją wrażliwość w sposób przemyślany. Nigdy nie atakuje się ludzi z

własnego, zintegrowanego środowiska, od których zależy może los danego „reformatora”. Przedmiotem ataku jest zawsze tak lub inaczej zdefiniowana „większość”, którą wrażliwiec pogardza i którą chce gruntownie przemodelować. Szczególnym przedmiotem rzekomej troski takiego demokracji są peryferyjne grupy mniejszościowe, których odmiennosc obyczajowa i kulturowa zawsze jakoby wzbogaca kulturę głównego nurtu. Dominująca obecnie w świecie Zachodu elita stara się przebudować wszystkie obszary naszego życia. Nazywa to modernizacją. Fakty jednak potwierdzają przypuszczenie, że nie chodzi tu o egalitaryzację całego społeczeństwa, ale o egalitaryzowanie się jego liderów – intelektualistów, polityków i przedstawicieli mediów powiązanych ze sobą intelektualnymi modami i przyziemnymi interesami – ze swoimi odpowiednikami w innych krajach (szczególnie widoczne jest to w Polsce, gdzie zakompleksienie elity wymaga gwałtownie takiej fuzji). Atak na stary porządek społeczeństwa szlerychizowanego i wyposażonego w stabilizujący system wartości jest atakiem totalnym – od edukacji młodzieży po sposoby chowania zmarłych (pochówek czy kremacja?). Stary świat ma w całości odejść, zastąpiony – jak to ujął prominentny autor postmoderny Jean-Francois Lyotard – przez „rządy małej dziewczynki“, bytu przedkulturowego, który tak jak Pigmeje, za których kulturę postępowy demokracja dałby się posiekać przed kamerami telewizji, działa w sposób autentyczny i dobry, niezapośredniczony przez liczne warstwy interesów ancien régime’u. Mamy tu refleks teorii „dobrego dzikusa“, która zdradza dla owego dzikusa nieodpartą pogardę nowej quasi-arystokracji quasi-modernizacyjnej, która, znosząc dawny porządek, na pozór zabiega o równość i szczęście dla całej ludzkości – z jej mniejszościami obyczajowymi i ideowymi na czele.

Przedlewicowy klasyk liberalizmu Benjamin Constant pisał o metodach i intencjach francuskich rewolucjonistów, którzy działali poprzez „ukrywanie prawdziwych motywacji, które nimi kierowały, i

przywłaszczanie sobie bezinteresownych zasad i opinii, które posłużyły im za sztandar”. Jak ulał pasuje to do współczesnych elit lewicy, która postrzega siebie jako nietzscheańskich nadludzi. Nie bez powodu Czesław Miłosz wspominał, że najchętniej czytany w Berkeley filozofem jest Fryderyk Nietzsche. Przyjemnie jest być nadczłowiekiem w przebraniu wrażliwego demokrata. Jednak spod jego eleganckiej marynarki lub wytartej dżinsowej koszuli wyziera mundur politycznie poprawnego oficera, którego paplaninę o panplanetarnej miłości do ludzkości należy traktować tak, jak miłość do ludzkości Dantona i Robespierrea – jak formę resentymetu prostą drogą prowadzącą do totalistycznego zamordyzmu. Bo choć za „homofobiczny język” głów się dzisiaj nie ścina, eliminuje się z uczelni, redakcji i polityki ludzi, którzy narzucaną nam nowomową i stylem życia przejąć się nie chcą.

Elity i człowiek abstrakcyjny

Każdy system polityczny wyłania jakąś elitę. Jakie są elity w egalitaryzującym się świecie burzonych dawnych hierarchii Zachodu? Czy są państwowotwórcze, jak w ustrojach monarchicznych, gdzie monarcha jest właścicielem i gospodarzem państwa, a więc działa na jego korzyść? Czy stanowią prawdziwą arystokrację, często anarchistyczną i nieokiełznaną, ale twardo broniącą pewnych uniwersalnych wartości stanowiących fundament jej istnienia? Nie. Elity liberalno-demokratyczne stanowią quasi-arystokrację osnutą na moralnym nihilizmie i obłudnej miłości do „ludzkości”. Ale jak można kochać za jednym zamachem całą ludzkość? Czy rzeczywiście modne pisarki i celebryci, do których zalecają się zawsze gotowi do publicznej autokreacji lewicowi intelektualisci, kochają skromną prządkę z łódzkiej fabryki, która nie czytała Derridy, nie przyjaźni się z Pilchem i nie jeździ do Paryża na targi mody, ma natomiast zniszczone dłonie i męża alkoholika?

Elity kochają ludzkość, czyli nikogo. Ich tolerancja i walka o prawa mniejszości to kiczowate i faryzejskie przedstawienie. Przeciętny, skromny człowiek jest jedynie nawozem historii, chłopcem nie do opieki i kształcenia w duchu kindersztuby, lecz do bicia. Michel Foucault ogłosił „śmierć podmiotu” jako człowieka pojmowanego w myśl antropologii chrześcijańskiej. Jego kolega Jacques Derrida obwieścił przewyżczenie człowieka jako bytu wyposażonego w aksjologiczne zasady. Konkretny człowiek zniknął, redukując się do swojej funkcji grupowej (marksściści jeszcze wczoraj mówili „klasowej”). Konkretnego człowieka – jak przystało na ideologie totalitarno-rewolucyjne – zastąpił byt zbiorowy. I to ten byt jest ponoć umiłowany przez wrażliwców-na-pokaz. Pisał o tym znakomicie Max Scheler w pracy „Resentyment a moralność”. Wykpiwał tam altruizm i filantropię, które mają być konkurencją dla zniechęconego przez postępowców chrześcijaństwa z jego miłością bliźniego (jako bytu osobowego i konkretnego). Czym jest resentyment według Schelera? Formą nienawiści, która jako przedmiot miłości przyjmuje byt antagonistyczny wobec przedmiotu nienawiści. Postępowa „ludzkość” rewolucjonistów jest przeciwieństwem zakołtunionego „bliźniego”. Dlatego ludzkość można kochać – w telewizji i na pokaz – nienawidząc łódzkiej prządki, która na dodatek chodzi do kościoła.

Roger Scruton, odwołując się do Schelera, pisze: „Totalitarne ideologie są przyjmowane, ponieważ racjonalizują resentyment i jednoczą tych, którzy go odczuwają ze względu na wspólną sprawę”. Czy nie jest to doskonały opis działania środowiska skupionego wokół liderów dawnego KOR, ROAD i „Gazety Wyborczej”? Nie chodzi oczywiście o to, że Adam Michnik postuluje system monopartyjny i chce zamykać „Gościa Niedzielnego”. Michnik nie potrzebuje tego robić. Bo w pewnym sensie zostało to już zrobione. A „wspólna sprawa”? To nie tylko – jak zwykle, pieniądze i władza. To także paniczny lęk Michnika i jego środowiska przed powrotem „endecji”, czarnosecinnej tradycji

skrajnej nacjonalistycznej prawicy przedwojennej. Dlatego dziś „Gazeta Wyborcza” zachęca do burd pod pomnikiem Romana Dmowskiego. Ale żeby pozbyć się choćby cienia groźby odrodzenia się w Polsce ruchów antysemickich, trzeba by przeorać polską kulturę i historię do gołej skały. Tendencje rasistowskie należy zwalczać, ale nikomu nie wolno pozwolić na tak ogromny komfort psychiczny, o jaki zabiega w Polsce liberalna lewica. Cena tego pełnego i niezagrożonego poczucia bezpieczeństwa jest dla Polski ogromna. To utrata naszej narodowej tożsamości. Żadna mniejszość na świecie nie ma prawa żądać – i otrzymać – takich gwarancji, nad jakimi bez wytchnienia pracują od 1989 r. Michnik i jego akolici.

Źródła potęgi lewicowych mediów

Cech totalitarnych polskiej demokracji można się dopatrywać na różnych polach. Poglądy lewicowych salonów, wyrażające marksistowskie resentymenty i idiosynkrazje językiem liberalnym, transmitowane są do społeczeństwa poprzez większość ogólnopolskich i lokalnych mediów. Ustawodawstwo zaś jest dopasowywane do scentralizowanej i nie na żarty już stotalizowanej Unii Europejskiej, w której decyzje zapadają w wąskich gronach przywódczych najsilniejszych jej członków, i zmierzają do podporządkowania wszystkich sfer życia obywateli Unii drobiazgowym dyrektywom jej szefostwa.

Można jednak obstawać przy pytaniu, dlaczego to nie konserwatywna prawica rządzi dzisiaj głównymi mediami? Odpowiedzi na to pytanie jest wiele. Sam proces transformacji po 1989 r. miał charakter tak dewiacyjny, że w ogóle można się dziwić, że prawica w Polsce dysponuje jakimikolwiek mediami. Sądzę jednak, że istota sprawy tkwi w czym innym. W organizacyjnej solidarności i syntezie oraz fragmentyzacji i atomizacji. Mówiąc ogólnie, w świecie liberalnym,

gdzie jednostka została albo „zdekonstruowana” i wcielona do jednej z wielu – często antagonistycznych – mniejszości, albo zaprojektowana tak indywidualistycznie, że utraciła jakąkolwiek narodową tożsamość, łatwo jest manipulować masami grupie samoświadomej swojej tożsamości i celów. Grupie ludzi wzajemnie się wspierających i lansujących. Taka formacja ma siłę taranu, który bez problemów łamie opór opozycyjnych jednostek, które są na tyle szalone i odważne, aby nie śpiewać w chórze wymodelowanym przez władców PRL-bis. Jaki repertuar ma ten chór? Kiedy do więzienia stalinowcy wsadzali niesplamionego jeszcze Władysława Gomułkę, chór śpiewał o „odchyleniu prawicowo-nacjonalistycznym”. Bo to jest chór internacjonalistyczny, tak jak Unia Europejska. Jak ognia unika IPN i pieśni patriotycznych. Nienawidzi polskiej polityki historycznej. Nie tylko z Aleksandrem Kwaśniewskim by się wyściskał, ale i z samym diabłem, gdyby dzięki temu „Bogurodnicę” mógł zagłuszyć śpiewem „Marsylianki”. I to nawet w godzinach nocnych. Bo jego członkom wolno więcej. To nadludzka bohema intelektualno-artystyczna. A tę cechuje – jak napisała Agnieszka Kołakowska – „bolszewickie poczucie wyższości moralnej”.

Paweł Paliwoda

Tekst ukazał się w Nowym Państwie Numer 11 (45)/2009